Ner 24. Kraków 18 września 1869. Rok III.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni J. Czecha hotel drezdeński i F. Baumgardtena w głównym rynku.
Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

EPICHARIS

FRAGMENT HISTORYCZNY,

przez

Henryka Filipowicza.

Mało jest tak szczęśliwych narodów, u którychby prawa, obyczaje i przesądy, nie przeprowadzały demarkacyjnéj linii między obywatelami różnéj płci. Najczęściéj linja ta jest tak ścisłą, że nie pozwala rozwinąć się zdolnościom jednéj, wywiera szkodliwy wpływ na położenie, a tém samém charakter drugiéj, i dzieląc je na dwie sukcesyjne kasty, wyznacza despotycznie obowiązki i zakres działania dla każdéj.

Jak nienormalném jest takie położenie, czują ci wszyscy, którzy najwięcéj na tém cierpią. Nie może jednak nie zwrócić każdego uwagi, tak wielka ilość marniejących dla kraju zdolności, które dla braku właściwego im kierunku, nietylko nie rozwijają się, lecz zmuszone żyć w pewnéj, ciasnéj dla nich sferze, z któréj pod groźbą skandalu, wyjść im niewolno — schodzą zupełnie z drogi obowiązku, nabierają najfalszywszych pojęć o swém przeznaczeniu, albo też gardząc społeczeństwem, które ich w tak przykrém położeniu postawiło, zrywają z niém, wpadają w ostateczność, i nie przestępując, lecz przeskakując liniją demarkacyjną dwóch płci, stają się nietylko niepożytecznemi lecz szkodliwemi towarzystwu.



KAPLICA W CZARNOLESIE.

Dlatego to kobieta, nie taka jaką dziś po większéj części zna nasze społeczeństwo europejskie, lecz kobieta samodzielna, obywatelka, występuje zwykle w historji, dopiero wtedy, gdy męże przestają być patrjotami, wiernymi — jednéj oblubienicy — ojczyznie, i wpadają w rozpustę, która rozkłada powoli ciało narodu i niechybnie prowadzi go do upadku. W takich dopiero chwilach, zapomniane, pojedyncze jednostki kobiece, mające więcéj uczucia i talentu niż otaczający ich obywatele, skupiają w sobie całą żywotną siłę narodu i wyrastają na bohaterki. Lecz zawsze są to jednostki tylko; są to objawy pojedynczych usiłowań, natchnienia kilku dusz wzniosłych, któremi kierują prawa natury rządzące historją. Charakteryzują one daną epokę i są prawdziwemi sługami postępu, cywilizacji. Ogół jednak kobiet przy takich objawach, pozostawał zawsze obojętny w tém zaczarowaném kole, w którém obracać się mu kazano *).

*) „. . . et cependant la masse des femmes demeure étrangère à ces commotions de peuples et d'Etats; il semble, que rien de tout cela ne soit de leur domaine, ou n'appelle leur action *E. Legouvé* „Hist. morale des femmes" V. I. 323. 324.

Jednak te pojedyncze charaktery, te serca pełne ognia i miłości, przeczuwając prawdę, szły ku niéj prostą drogą i losy ich były losami ludów. Gdy osłabł duch narodu, gdy pulsa jego coraz słabiéj uderzały, gdy lekarze mieli już opuścić chorego; zjawiał się wtedy w skromnéj postaci niewiasty nowy duch, który wyrabiał się w ciszy domowego ogniska, zbroił się łagodnością i cierpieniem, poił się dźwiękami ludowych pieśni, którémi kołysał przyszłych bohaterów, i gromkiém słowem lub żywym czynem zaklinał chorobę, ogrzewał krew umierającego starca, stawiał go na nogi. Nie jego wina, jeżeli starzec zbyt już stargał swe siły w życiu rozpustném, i znów upadał bezsilny i słaby, a duch kobiety podnieść go i uszlachetnić zdołał.

Tak natchniona nieraz kobieta, przeczuwała, jeśli nierozumiała ważności historycznego momentu, i stawała się jego panem. Szła na czele rycerzy, lub zadawała zdradziecki cios kierowany szlachetném sercem, i dłoń jéj rzadko chybiała celu.

Samo nawet upośledzone stanowisko kobiety, z którego do dziś dnia wydobyć się nie może, zmuszające ją przywłaszczać sobie prawo myśleć i działać samoistnie, którego jéj odmawiało społeczeństwo; samo jéj wychowanie, które usposabiając ją deduktywnie, rozwijało kosztem rozumu uczucia i wyobraźnię; wszystko to czyniło kobietę zbyt wrażliwą, romantyczną, zdolną w chwilach entuzjazmu do niezwyczajnych czynów; kazało uwielbiać ją tam, gdzie mężowi przyznanoby tylko spełnienie obowiązku. Poezja wygrywała, lecz socjalne stanowisko kobiety nie polepszało się *).

Historja pamięta chwile, których wyrazem, prototypem bywała kobieta. Jéj cnoty, cnotami całego społeczeństwa, występki, a nierzadko zbrodnie, były wadami całego narodu. Bijografije Aspazji, Kleopatry, Agrypiny młodszéj, Poppei-Sabiny, Brunehildy, Joanny d'Arc, Marji Stuart, Karoliny Corday, George Sand, są uosobieniami różnych epok, różnych potrzeb moralnych; każda z nich będąc historją pewnego społeczeństwa, jest zarazem protestem przeciw nienormalnemu położeniu, jakie w tych epokach zajmowała kobieta.

I tak, historyczne postacie kobiet charakteryzują pewne epoki, dają nam pełne pojęcie o społeczeństwie danego czasu; a jako oddzielne, wybitne osobistości, wywołane przez niezbędność historyczną, będąc produktem historji, wywierają podobny na nią wpływ, jakiego nie możemy odjąć wielkim imionom Cezarów, Brutusów, Robespierów, Kromwelów, Guttenbergów, Lutrów, Bonapartych i t. d.

*) *Ernest Legouvé* mówi: „Une contradiction étrange se manifeste à nous dès que nous ouvrons les annales du monde, Partout les femmes sont à la fois méprisées et honoress. Chez le même peuple dans le même temps, par les mêmes lois, ou les voit traitees tout ensemble, comme des étres superieurs et comme des étres infimes." „Hist. morale des femmes" V. I. 321.

Przed dwudziestu wiekami, tak samo jak dziś, spotykamy te wybujałe niewieście postacie, które życiem swém dowiodły, że kobieta powinna zajmować toż samo co mężczyzna stanowisko socjalne; że ma ona prawo na tę najpiękniejszą nazwę, któréj im często odmawiają: „*ecce homo!*" Czyny ich zadają kłamstwo, tym zkądinąd bardzo szanownym mężom, którzy utrzymują, że kobieta zdolną jest tylko być kucharką, i dają świadectwo potężnéj fizycznéj i moralnéj siły kobiety.

W starożytnym Rzymie, gdzie nasze opowiadanie ma miejsce, spotykamy się z wielu takiemi kobietami: Agrypina żona Germanika, Messalina, Agrypina matka Nerona, jego żona Oktawja i kochanka Poppeja, wypukle odbijają na rzymskim horyzoncie, w téj ostatniéj epoce jego wielkości, zaćmionym często ich występkami; ozłoconym na chwilę zachodzącym blaskiem cnót dawnych matron Romy.

Między temi grzmiącemi imionami Cezarowego Rzymu, spotykamy na pożółkłych stronnicach „Roczników" Tacyta, mało znane, niepewnego pochodzenia imię kobiety, która niebędąc ani pokrewną, ani złączoną osobistemi węzłami z domem Augustów, w najstraszniejszéj dla Rzymu chwili, trzymała nić jego losów w swéj dłoni; która wpośród podłości rzymskiego ludu i zepsucia rzymskiego społeczeństwa, była ostatnim promieniem zachodzącego dlań słońca wielkości i sławy.

W Rzymie niestało już obywateli.

Z zeschłych liści laurowych, z wieńców dawnych tryumfatorów republiki, ostatnia obywatelka Rzymu splotła sobie wianek godny rodaczki Brutusów i Grakchów.

Ta ostatnia obywatelka Rzymu: Epicharis.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SONATA ŻYCIA

przez ***Wł. Ładę.***

(Dokończenie).

IV. FINALE.

On — już kona. Już stygnie mu czoło,
Już ostatnim tchem się pierś kołysze;
Spojrzał w niebo — pogodnie, wesoło,
Skinął dłonią i rzekł: „Towarzysze!

„Nim do ziemi złożycie me ciało,
„Niechaj łańcuch otoczy mnie bratni;
„Duszę moją chcę odkryć wam całą . . .
„Posłuchajcie spowiedzi — ostatniéj! . . .

„Kto po burzy, po klęsce rozbicia,
„Ducha swego z otchłani zwątpienia
„Nie podźwignął — nie ujrzy za życia
„Swéj oczyzny w chwale przemienienia.

„Że dziś z wrogiem rozpacznie walczyłem,
„Wy mówicie: „bohater umiera!“
„Wiecież, bracia, kto jestem? kto byłem?...
„Ach! nie dla mnie sława bohatera!

„Jam niegodnym był synem ojczyzny,
„Bom jednostkę nad ogół ukochał!...
„W piersiach waszych gdy wróg orał blizny,
„W samolubném cierpieniu jam szlochał.

„Ja — zły rolnik — méj duszy owoce
„Przytłumiłem, nim nadeszły żniwa,
„Jako muszla, co w brudnéj powłoce
„Czystą perłę przed światem ukrywa.

„Ja — złe dziécię — na łożu Prokrusta
„Gdy mą matkę — ojczyznę dręczono,
„Nie zadrgały boleścią me usta,
„Nie rozpękło się synowskie łono!

„Ach! gdym z serca wyrwał strzał zatruty,
„Już Bóg liczył ostatnie godziny...
„Zgon mój — patrzcie!... to dzieło pokuty...
„Zgon męczeński niech zgładzi me winy.

„Niczem męztwo, poświęcenie niczem,
„Zaczerpane w potokach rozpaczy;
„Wielkiém będzie przed ludzkiém obliczem...
„Ale niebo osądzi inaczéj!...

„Widzi duch mój... w przestworzu szerokiém...
„Przyszłą wielkość ojczyzny... i chwałę...
„Ach! wy ziemskiém ujrzycie to okiem...
„Lecz jéj serca dajcie... czyste... całe...“

Raz ostatni wzniósł dłonie ku niebu,
Westchnął lekko — i ducha wyzionął.
Jęk boleści — jakby hymn pogrzebu —
Wzbił się w górę i w chmurach utonął.

W głębi lasu stanęła mogiła:
Oddział w drogę wyruszył o świcie.
Śnieżna zamieć mogiłę przykryła,
Jak niepamięć zasypuje życie.

LITWINKA.

Obrazek dramatyczny z czasów powstania 1863 roku,

w trzech Aktach,

napisał **F. Łoziński.**

(Ciąg dalszy).

ZOSIA. Panie, uspokójmy się oboje, sprobujmy dojść do jakiegoś porozumienia się. Chcesz pan abym twoją żoną była, ale ja już mówiłam: że to nigdy stać się nie może. Nie badaj pan przyczyn, jednych nie zaniedbam powiedzieć, drugie w mojéj nawet myśli nie jasno się jeszcze stawiają.

Zresztą, ażeby pozyskać serce kobiety, potrzeba przedewszystkiem pozyskać jéj szacunek; potrzeba, aby ona na czole mężczyzny widziała godność, w spojrzeniu potęgę prawości i honoru, w życiu dowody cnót obywatela i męża niezłomnéj woli. Takiego tylko zacna kobieta pokocha, tylko takiemu powierzyć może śmiało swoje serce i życie *(z naciskiem)*.

Panie Zygmuncie, wspomnij na słowa które do mnie powiedziałeś, zważ ich znaczenie, z myślą o nich — porównaj siebie do obrazu jaki ci wskazałam, i powiedz: czy ja ciebie kochać mogę — być żoną twoją!

ZYGMUNT. Ale pokochać możesz! obraz któryś mi pani wskazała, wyryję sobie w pamięci, i każdy mój krok w życiu stosować będę do niego, dokąd nie stanę się godnym twojéj miłości.

ZOSIA. Zacną tą chęcią zacierasz pan wrażenie poprzednich słów swoich, i żałuję doprawdy że nie mogę żadnéj zrobić nadziei; ale podam chętnie rękę przyjaźni i pomagać będę, abyś taką drogą doszedł gdzieindziéj do szczęścia, którego ja ziścić nie mogę.

ZYGMUNT. Przyjaźń! ja miłości pragnę.

Odkąd cię pani poznałem, wszystko zmieniło się we mnie: od przeszłych moich myśli, uczuć, życia całego odwracam się ze wstrętem; myśl o tobie nie odstępuje mnie ani na chwilę, przy tobie, pod wpływem twego spojrzenia czuję spokój w duszy i coś takiego co mnie usposabia do najwyższéj zacności. Serce lubuje się marzeniami szczęścia, którychbym za niebo nie oddał. *(klękając)* Pani, bądź moim aniołem, i weź do tego nieba w którém cię myśl moja widzi, podnieś serce, które pod tchnieniem twojego, najczystszém zapłonie uczuciem!...

(gdy Zofia nic nie odpowiada). Panno Zofio, śmierć mi zadajesz twojém milczeniem!

ZOSIA. I mnie to wszystko przykrém jest niewymownie. Jeżeli uczucia te są prawdziwe, to pojmuję boleść pana, a jednak w niczém złagodzić jéj nie mogę. Chyba tylko wyznaniem, którego dotąd nie śmiałam wyjawić nawet sama przed sobą. Powiem, spodziewając się, że ta myśl odwróci pana odemnie, złagodzi żal i moją odmowę usprawiedliwi.

Wiesz pan pewno, że szczęście w małżeństwie polega na wzajemnéj miłości, ja... jużbym pokochać nie mogła — i w związku z panem, z mojéj strony, byłoby tylko poświęcenie.

ZYGMUNT. Więc poświęć się pani! wszak jesteś kobietą! ja to poświęcenie odpłacę ci miłością bez granic!

ZOSIA. A, panie! jakież masz prawo żądać odemnie podobnéj ofiary.

ZYGMUNT. Bo kocham cię pani! i nie mogę pomyśleć bez drżenia, żebym cię miał utracić. A! sama ta myśl miesza zmysły moje!

ZOSIA. Widzę to panie, i dlatego wybacz że się oddalę.

ZYGMUNT. Nie odejdziesz! dopóki nie wysłuchasz mnie do końca.

ZOSIA. Zawołam pomocy!

ZYGMUNT *(gwałtownie)*. Ani się waż! Szatan wprowadził cię na moją drogę, ale cię już i on sam z rąk moich nie wydrze! Piekło zapaliło w mych piersiach ogień, a ty niebaczna rozdmuchałaś go sama.

Dlaczego przymilaniem się, słówkami obietnic, wznieciłaś we mnie nadzieję? dlaczego urok i wdzięk niepojęty co cię otacza, oczarował mnie? dlaczego ta twarz cudowna wpiła się w pamięć moją? na co te oczy, które i w téj chwili świecą płomiennym ogniem, rozpłomieniły krew moją?! Czyżeś ty potęgi swych wdzięków nie znała? nie mogłażeś odgadnąć przeczuciem kobiecem, że możesz wzbudzić we mnie miłość, namiętność gwałtowną, że zapragnę posiąść cię za jakąbądź cenę!

ZOSIA. Puść mnie pan! podobną niecną mową znieważasz kobietę; za tę krzywdę ujmie się Bóg i ludzie.

ZYGMUNT. Boga nie znam, a ludzi się nie boję! zarazem widzę: że napróżnobym już szukał w tobie przychylnego uczucia, i doprawdy głupi byłem prosząc na kolanach o to, co przemocą mieć mogę. Mam za sobą prawo mocniejszego, jestem tu panem waszego życia i śmierci, woli mojéj nic się tu oprzeć nie zdoła! Domyślam się kto mnie w drodze do twego serca uprzedził, i to gorzéj jeszcze dla was obojga!

Ostatnie słowo — pani, chcesz być moją żoną?

ZOSIA. Nigdy, za nic!

ZYGMUNT. Więc moją niewolnicą będziesz!

ZOSIA. Nikczemny!

ZYGMUNT *(wolno z naciskiem za odchodzącą)*. Brat twój, ten . . . Władysław, ludzie jego i nasi są w drodze do lasu, natrafią tam na pułapkę zastawioną przezemnie, dam tylko znak, a wszystkich zobaczy tu . . . skrępowanych *(przerażenie Zofii)*. Ha! to cię przeraża, lękasz się o swojego kochanka. Lecz to nie wszystko jeszcze, ja ich w twoich oczach każę osiec i powiesić wszystkich!

ZOSIA. Litości panie! co oni tobie zawinili, mnie zabij, a im przebacz!

ZYGMUNT. Zabić mogłem cię dawno, lecz ja nie trupa, ale ciebie żywą mieć muszę.

ZOSIA. Nigdy! Myśmy już zresztą z życia naszego Bogu i ojczyznie ofiarę uczynili. Nie kuś mnie więc szatanie, nie kalaj myślą zdrady! wyjdź ztąd — zbrodniarzu!

ZYGMUNT. Starego ojca twego każę tu zabić kijami, a ciebie krwią jego upoić!

ZOSIA. Boże wielki! ratuj nas!

(do Zygmunta). Oni jeszcze wrócić mogą, nie iść do powstania, więc winy nie będzie i nie będziesz miał prawa prześladować nas.

ZYGMUNT. Mam aż nadto prawa za to coście już dotąd nabroili. Zresztą przeszkodziłem ich powrotowi, nie wrócą, i spiesz się pani, żebym miał jeszcze czas odwołać rozkazy.

ZOSIA. O zgrozo! więc zawczasu już z namysłem przygotowałeś się panie do takiéj haniebnéj zbrodni; więc w twojém sercu nie ma iskierki uczucia; mówiłeś że kochasz, takaż to twoja miłość — upamiętaj się panie!

ZYGMUNT. Nie traćmy czasu na próżne słowa, postanowiłem wyjść ztąd albo z zezwoleniem twojém na małżeństwo, albo spełnić groźbę o któréj mówiłem. Do pani wybór należy.

ZOSIA *(po bolesnym namyśle)*. Panie, raz jeszcze odwołuję się do serca, do honoru twego. Staw ich na sędziów twego postępowania, a poznasz, że niém nie miłość kieruje, bo ona nie takie drogi do pozyskania serca obiera. Ja łzy tylko i serdeczną rozpacz dać ci z sobą mogę. Nie byłbyś i pan szczęśliwym, bo w mojéj boleści miałbyś ciągły wyrzut sumienia!

Bądź szlachetnym panie!

ZYGMUNT *(po chwilowém wahaniu się)*. Nie, nie mogę utracić ciebie, nigdy!

ZOSIA. Odwagi, mocy nad sobą. Jeżeli musisz zadać gwałt twoim chęciom, to ja wywzajemnię się panu równém poświęceniem . . .

Ja kocham . . .

ZYGMUNT. O, na szatana! nie mów pani o tém.

ZOSIA. Ja zaprę się téj miłości, przysięgam na ducha mojéj matki, że nie będę żoną jego . . . a jeżeli postąpisz panie szlachetnie, kto wié, może kiedyś, panie! ja robię ci nadzieję, ale ocal mi ojca, brata i . . .

ZYGMUNT. I kochanka . . . dokończ pani. Nie! głupstwobym zrobił, zostawiając niepewnemu jutru to, co mogę mieć dziś w rękach.

ZOSIA *(gwałtownie)*. Potworze! więc idź wykonać twą groźbę, ale pamiętaj, że łzy nasze i rozpacz potępią cię w dzień sądu Bożego!

ZYGMUNT *(śmieje się)*. Postaram się przynajmniéj osłodzić sobie ostatnie chwile życia . . . przed tém potępieniem. Do widzenia! Zanim tamtych z lasu dostanę, zacznę od ojca, zobaczymy, czy jęki jego pod kijami nie ugną twojéj hardéj duszy.

ZOSIA. Oh, zatrzymaj się pan!

(n. s.). Boże, daj sił do zniesienia takiego męczeństwa!

ZYGMUNT. Cóż panno Zofio. Jeżeli ztąd wyjdę, przysięgam na mą duszę, że oni wszyscy zginą.

Zosia. Gotowam spełnić czego pan żądasz.

Zygmunt. Nie z wielką chęcią, co prawda. Ale cieszę się z tego, bo mam nadzieję, że czas i moje starania, złagodzą tę niechęć.

Chciéj pani usiąść, jesteś wzruszona, uspokój się, musimy jeszcze chwilkę pomówić z sobą.

Nie dosyć, że ty panno Zofio na związek nasz zezwoliłaś, potrzeba jeszcze żeby i ojciec zezwolił. — Musisz go pani o to prosić, powiedzić: że masz do niego wolną i nieprzymuszoną wolę. Ja pójdę zaraz oświadczyć się ojcu, a twojém już to panno Zofio będzie staraniem, żeby nie odmówił mi, w takim bowiem razie wszystko byłoby za nic, i ja musiałbym przy swoim zamiarze pozostać.

Ślub odbędziemy za dwa tygodnie. Po ślubie obawiać się was już nie będę, do tego dnia jednakże będę ostrożnym, bardzo ostrożnym! W téj grze idzie nietylko o wasze ale i o moje życie, a domyślasz się pani jakibym wybór zrobił.

Żadne wybiegi, żadne środki nic wam nie pomogą, przewidziałem wszystko, i na wszystko jestem przygotowany.

Groźba moja wisieć będzie nad waszemi głowami, a najmniejsze moje podejrzenie, jedno słowo o tém co między nami zaszło, najmniejsze zachwianie się twoje pani, groźba ta jak grom na was spadnie.

Od téj więc chwili, uważaj mnie panno Zofio za narzeczonego, staraj się zapomnieć przykrą naszą rozmowę, a resztę zostawmy czasowi.

Daj rączkę na zgodę *(całuje w rękę)*, niech ten pocałunek zatrze przeszłość i będzie zadatkiem naszéj przyszłéj miłości. *(kiedy Zygmunt całuje Zosię wchodzi Władysław i zdziwiony upuszcza kapelusz składając głosno ręce).*



ŻEBRACY Z OKOLIC MOŁODECZNY.

SCENA VI.

ZOSIA, ZYGMUNT, WŁADYSŁAW.

Władysł. Czy to złudzenie! *(biegnie do Zosi)* Panno Zofio! drżysz cała. Na Boga, co się tu stało? Powiedz-że pani. On cię może obraził! *(Gdy Zofia milczy, biegnie do Zygmunta i bierze za ramiona).*

Więc ty mi powiedz, co znaczyły twoje słowa?

Zygmunt. Strzeż się mój panie! za dotknięcie mnie możesz pójść na Sybir, a pytanie takie tylko ojciec téj pani ma prawo zadać mi.

Władysław. P. Zofio, mówił ci o miłości, i ty go słuchałaś!

Zygmunt. Przestań pan, nie pozwolę przemawiać w ten sposób do mojéj narzeczonéj!

Władysław. Narzeczonéj! co on mówi, pani!

Zygmunt. A tak, mój panie! panna Zofia raczyła udarować mnie tém szczęściem. Idę właśnie prosić ojca o jéj rękę.

Do widzenia panno Zofio!

(całuje ją w rękę i mówi cicho). Chwila ta decyduje o życiu ojca . . . i ich.

(głośno do Zofii). Dla uspokojenia pana Władysława, chciéj pani potwierdzić to co powiedziałem.

Zosia *(n. s.)*. Boże! siły mnie opuszczają.

(głośno do Władysława). Tak panie, chcę zostać żoną pana Zygmunta.

(Zygmunt wychodzi patrząc bezczelnie na Władysława).

(Dalszy ciąg nastąpi).

Teatr. — *Montjoye, komedja z francuskiego w 5 aktach p. O. Feuillet.*

Główną i najwybitniejszą postacią téj komedji jest *Montjoye,* spekulant, człowiek niezłomnéj woli i nieugiętego charakreru, poświęcający wszystko dla spekulacji finansowych i osobistych ambicji. Pan dyktujący prawa nawet głosowi własnego sumienia. Człowiek ten, cały świat jaki go otacza — żonę, dzieci, przyjaciół i tych co mu służą, poświęca miłości własnéj.

Reszta osób wplątanych w intrygę komedji służy tylko do cienowania uczuć, do spotęgowania walki opartéj z jednéj strony na niezłomnéj woli i dumie spekulanta, a z drugiéj strony na odzywających się w jego duszy uczuciach męża i ojca kochającego do ubóstwienia córkę swoją Cecylję.

Dla téj to świętéj miłości, ów człowiek żelaznego charakteru łamie się i wraca na łono rodzinnego życia, stając się człowiekiem serca.

Pan *Benda* (Montjoye) postać tę przeprowadził z całém pojęciem sztuki i wycieniował ją znakomicie. Zimny ten i rachujący człowiek wychodzi czasem za obręb lodowatéj atmosfery jaką otaczał się przez lat dwadzieścia, ale były to chwile raczéj zapomnienia się, w których najmniejsza czułostka byłaby słabością nie do darowania. Scena z Henryką, nieślubną żoną pana Montjoye, a następnie z dziećmi, którym z takim spokojem mówi o rozłączeniu się z matką, należy do prawdziwie świetnych błysków talentu pana Bendy.

Pani *Borkowska* w roli Cecylji dowiodła nam że jest artystką, która na scenie naszéj ma niezaprzeczone prawo obywatelstwa w rzędzie rzeczywistych talentów. Piękną i sympatyczną dla publiczności postać owéj dziewczyny młodéj, naiwnéj i kochającéj, pani Borkowska oddała tak wdzięcznie, z takiém wykończeniem i talentem, że nawet wymagania najsurowszéj krytyki przyznać jéj muszą zupełne nad sztuką zwycięztwo.

Szczególniéj nieporównanego wdzięku jest ta scena w akcie trzecim, kiedy Cecylja (pani Borkowska) pragnąc ośmielić Jerzego de Sorel (p. Ładnowski syn), aby prosił ojca o jéj rękę. Pani Borkowska oddaje scenę tę z takim urokiem, z taką kokieterją naiwną i niezepsutą, że gra jéj nic nie pozostawia do życzenia.

Kończąc pobieżne sprawozdanie z Montjoye, nie możemy pominąć uwagi, która ze względu na młody talent p. Fiszera (Roland) może mu być pożyteczną. A zdaje nam się, że i p. Fiszer przyzna to z nami, iż albo nic zgoła, albo mało pracował i zastanawiał się nad swoją rolą. Co do całości, ta, zdaje nam się, graną była daleko słabiéj aniżeli reprezentacji przeszłych.

PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

(Rzut oka na stan naszego piśmieśmiennictwa; „*Próby Rymotwórcze J. S. Chamca.*“ Lwów, nakładem Gubrynowicza i Schmidta. 1869. — „*Familija Orskich* przez *Wl. Sabowskiego.*“ Kraków, nakładem wydaw. „Kraju.“ 1869).

Niedawne to bardzo czasy, kiedy ożywiony handel księgarski, wymaganiom czytającéj publiczności zaledwie był w stanie podołać, kiedy utwory nietylko zaszczytnie znanych autorów, ale i nowo na polu piśmienictwa pojawiających się pisarzy, znajdowały chętnych nakładców i czytelników. Wówczas to czytanie nowych książek było konieczną potrzebą towarzyskiego życia, a zastanawianie się nad niemi w celu wymiany przekonań i wydania sądu, wypełniało nietylko treść międzyosobowych stosunków, ale rozprzestrzeniając zasady znakomitszych naszych myślicieli pośród różnych kół naszego społeczeństwa, podnosiło je i uszlachetniało. Obecnie stosunki te zmieniły się do niepoznania, a na zmianie téj wychodzi jak najgorzéj—towarzyskie nasze życie i cała narodowa oświata.

Nie potrzeba bynajmniéj być pessymistą aby przyznać że jeżeli już nie czczość to zimna obojętność na duchowy postęp, na ciągłość jego rozwoju owładnęła nami. Oddani chwili przelotnéj wyczerpujemy się do tyla na zewnątrz, że w wewnętrznéj próżni nie odbija się wzpomnienie dnia wczorajszego ani wyrabia pamięć na jutro.

Niedawno, bo lat temu niespełna 10 było zupełnie inaczéj, lecz co będzie daléj?... Trudna odpowiedź i nieżyczymy zupełnie zastanawiać się nad nią ze stanowiska dzisiejszego stanu piśmiennictwa, które nietylko w kierunku ściśle naukowym ale nawet i belletrystycznym smutny bardzo przedstawia obraz.

Czyja w tem wina, piszących czy też publiczności?

Bez wachania przypisujemy winę téj drugiéj, uzasadnienie bowiem jest równie łatwe jak proste.

Nikt nie zaprzeczy, że w kraju naszym zupełnie tylko

ubodzy, lub też ludzie miernych bardzo funduszów, oddają się wyższym naukom. Jeżeli więc taki młody człowiek, żelazną wytrwałością lub kosztem ostatnich wysiłków familji, dobiwszy się końca mozolnych studjów poczuje w sobie talent i powołanie pisarskie, to oddając się temu powołaniu, liczy, że utwory jego pióra jeżeli już nie będą honorowane jak poezje Huga lub powieści Dickensa, to znajdą przynajmniéj nakładców i opłacających nakłady czytelników. Brak czytelników zawięzuje worek najbardziéj nawet chętnego nakładcy i zmusza młodego autora do przeniesienia swych zdolności na inne chlebodajne pole. Kilka takich przykładów zniechęca innych do robienia prób bezowocnych, pracownicy ustępują z pola literatury, a na polu tém miasto dębowych konarów wiedzy i ducha, wyrasta piołun bezmyślności i karłowate drzewo upadku.

Są tacy, co utrzymują, że teraźniejsi autorowie nie warci są czytania i poparcia. Sąd taki jest niesłuszny — doskonałym odrazu być niepodobna, i nie każdy tak imponująco zawód swój otwiera jak p. Jan Stożek El . . . y. Patrzmy zresztą na pierwsze prace najznakomitszych naszych poetów i powieściopisarzy — jakaż to miernota, a przecież jak wysoko stanęli. Nie niechęć i bezwzględne potępienie, lecz rozważna i wyrozumiała a sprawiedliwa krytyka i rozumna pobłażliwość czytających, kształci i wyrabia poczynających autorów.

Inni utrzymują, że zrujnowani ostatniemi wypadkami, na kupno książek zdobyć się nie jesteśmy w stanie — czyż tak? Zrujnowani przepełniamy w lecie zagraniczne i krajowe zdrojowiska nie wyjmując Wiesbadenu i Homburga. Zrujnowani przeskakujemy w zimie z balu na bal jak motylki po różach. Zrujnowani czynimy zadość najszaleńszym wybrykom mody i zbytku. Czyż jednak nie najbardziéj zrujnowani jesteśmy z powodu, że nie czynimy zadość potrzebom naszego serca i głowy, że nie budzimy do życia leżących na dnie naszéj piersi, nasion ducha tętniącego hymnem miłości piękna i prawdy, ogrzewającego nadzieję lepszego jutra?

Rozwadze pięknych czytelniczek polecając wstępne nasze słowa, otwieramy dla nich osobny dział krytyczny w „Kalinie,“ przekonani bowiem jesteśmy, że staranny wpływ kobiet jest w stanie przyczynić się przemożnie do ożywienia ruchu umysłowego w kraju naszym.

— Pierwszy z dwóch utworów, o których słów kilka powiedzieć dziś zamierzamy, są dwa spore tomy poezji *J. S. Chamca*, opatrzone niestosownym a odstręczającym tytułem: „Prób rymotwórczych.“ — Rzadko kiedy tak piękna rzecz równie brzydkiém ochrzczoną była mianem, jak te pierwiosnki młodzieńczéj pracy p. Chamca, pełne wzniosłego uczucia, szlachetnego zapału i prawdziwie poetycznéj fantazji. Pierwszy tom obejmujący „Rymy ulotne,“ przedstawia nam p. Chamca jako liryka strojnego w piękną a niezmiernie ku sobie pociągającą, elegancką formę, roztaczającego przed nami całe skarby najrzewniejszych uczuć połyskujących brylantowym ogniem zapału, wrzących czasami do głębi duszy przemawiającą miłością Boga, ojczyzny i współbraci. — Oddając młodemu poecie te zasłużone pochwały dotyczące specjalnie takich ustępów jak: „Moja przyszłość,“ „Kogo ja kocham,“ „Muzyka,“ „Tęsknota,“ „Biedny ten biedny“ i kilku naśladowań: Victora Hugo, Teofila Gautier i Sully Prudhomma— zwracamy jego uwagę, iż wszelkie rozpływanie we mgle płaczliwego marzenia i mdłéj uczuciowości, jakie w niektórych innych ustępach napotykamy, odbywa się kosztem młodzieńczéj siły, a tracąc urok prawdziwéj poezji, staje się denerwującym dźwiękiem rozstrojonéj liry.

Drugi tom obejmujący dwa dramata: „Tadeusz Reytan“ i „Samuel Zborowski“ jest najwymowniejszém świadectwem niezwykłych zdolności i prawdziwego talentu po raz pierwszy debiutującego autora. Oba dramata czytają się mile i z zajęciem, różnica jednak między niemi jest bardzo znaczna.

W „Reytanie“ przemaga opisowość i rozwlekłe deklamacje, tak, iż za wyjątkiem pysznego przedśmiertnego monologu bohatera, całość jest prawie monotonną i warunkom sceny zupełnie nieodpowiada.

W „Zborowskim“ za to siła dramatyczna, żywość sytuacji i wybitne charakteryzowanie postaci tak zręcznie i tak umiejętnie jest przeprowadzone, że cały ten dramat, a w szczególności skreślenie takich postaci jak Samuel i Gryzelda, wygląda raczéj na dzieło wytrawnego mistrza aniżeli na „Rymotwórczą próbę“ młodego poety. Dramat ten przerobiony na scenę, cieszyłby się bez wątpienia niezmiernem powodzeniem.

Niepodobna nam prawie przykładać zimnego skalpela wyczerpującéj analizy do tych kropelek majowéj rosy, jakie pan Chamiec na zieleniejących świetną nadzieją listkach swéj poetycznéj muzy zawiesił, przechodzimy zatém do wzmianki jaka się najnowszéj powieści p. *Władysława Sabowskiego* ze wszech miar należy.

Pan Sabowski znany jest ze swego talentu od lat już kilku jako Wołody Skiba, a liczne jego utwory cieszyły się zawsze tem powodzeniem, na jakie słusznie zasługują.

Powieść, o któréj mowa, p. n.: „Rodzina Orskich“ posiada wszystkie piękne zalety, ale zarazem i wszystkie ujemne strony swoich poprzedniczek. Główną jéj zaletą jest jędrna treściwość, nadzwyczaj udatna i wyrobiona forma, potoczystość wyborowego stylu i żywe uplastycznienie obrazów, główną zaś jéj wadą jest pośpiech i jakieś nieomal paradoxalne charakteryzowanie działających na pierwszym planie osób.

Michał Orski, owo dziecko wyrosłe ze zgangrenowanego powiatowemi zawiściami gruntu, ów malec wychowywany experymentalno-potwornie, ów młodzieniec nasiąkły fałszywą ambicją, próżnością, pychą i pogardą dla niższych, staje się po kilku latach wzorowym obywatelem, najlepszym ojcem, czułym i pełnym względności i delikatnych uczuć mężem! — Zkądże taka niezwykła zmiana? Może to wpływ innych ludzi, innego świata, może to wpływ cierpień przebytych?

Bynajmniéj. Porzucamy 16-letniego Michała w Orsku z pewnym rodzajem obrzydzenia, i nie wiedząc, ani nie sły-

sząc nic o nim, spotykamy go po kilku latach w innéj zupełnie, sympatycznéj postaci.

Zkądże ta zmiana, powtarzamy? bo szanowny autor niczem jéj nie uzasadnił.

Tak samo dzieje się z Korkiem vulgo Korczakiem, tym synem poczciwego chłopa, którego naturalny spryt i staranne kształcenie w domu Orskich, a potem przychylność otaczających ludzi i chętna ich pomoc, na stosunkowo wysokie wyniosły stanowisko.

Dlaczegoż ten człowiek wyrwany z pośród kolców otaczających jego dzieciństwo, dlaczegoż ten wynalazca Leibnicowskiéj Djadyki, wyszlachetniony nauką i postawiony pośrod bardzo wygodnych warunków, upada w kał zepsucia i staje się wykwalifikowanym złoczyńcą?

Autor tego zupełnie i niczem nie motywuje, a przecież takie czarne postacie, takie demony upadku nie przychodzą na świat gotowe, społeczne warunki i zbieg odpowiednich okoliczności wyrabia je dopiero. Autor zupełnie nad tym się nie zastanawia, potrzeba mu do przeprowadzenia intrygi wielkiego łotra i oto Korek *ex machina* staje mu do usług.

Nie posądzmy szanownego autora o złą intencją, lecz wyznajemy, że nie należało zapominać że to jest chłop—Korek, że wyprowadzając go z ludu po to tylko aby go przerobić na bandytę, popełniło się błąd większy aniżeli piszącemu w pośpiechu autorowi zdawać się mogło.

Tenże sam pośpiech pozwolił p. Sabowskiemu popełnić niezmiennie pocieszną komiczność, któréj mógł zaprawdę czytelnikom swoim oszczędzić. Mówiąc to, mamy na myśli genezę gorącéj miłości Jacka Sieroty i Heli — miłość ta głęboka i czysta, jest niejako osią powieści, chwila jéj powstania zatem jest niezmiernie ważną.

Krótko mówiąc, rzecz ma się w następujący sposób: Odebrawszy początkowe wykształcenie i zaopatrzony funduszem na drogę, udaje się 16-letni Korek w świat dla szukania karjery. Po drodze spotyka równego sobie wiekiem zbiegłego z sąsiedniéj wsi pastucha od gęsi — pastuchem tym jest niby uczuciowy, niby głupowaty Jacek Sierota. Korek bierze go z sobą w charakterze popychacza i sprawia mu w pierwszem mieście stosowną liberją. Podróż odbywa się pieszo. Pewnego pięknego poranku zachodzą nasi bohaterowie do domu obywatelskiego, w którym mieszka staruszek pan Gryf Zwański, znający się wybornie na genealogii i heraldyce. Przy obiedzie zjawia się czasowo przy pradziadku bawiąca młoda i piękna jak anioł Hela. Kilka spojrzeń bez akompanijamentu mowy, a piękna Hela pokochała na zabój zbiegłego od gęsi pastucha . . .

To być nie może, zawołają łaskawe czytelniczki, ta Hela zapewne nigdy nie była w Krynicy, ta Hela nie znała dobrego towarzystwa . . . przeciwnie, odpowiemy — Hela odebrała bardzo staranne wychowanie, a przecież pokochała pastucha i kochała go całe życie, kochała go idąc za Michała Orskiego, kochała go aż do śmierci. Dla czego? . . . Na to pytanie autor tylko odpowiedzieć zdoła.

Pomimo tych rażących usterek, powieść p. Sabowskiego napisana jest pięknie, czyta się ją z zajęciem jak w ogóle wszystko co p. Sabowski pisze.

O...le.

Korespondencja „Kaliny."

Panu J. K. T. — Majdan Górny. — Przesyłkę odebraliśmy. — Tymczasem wdzięczność. — Poezje, jeśli nas kiedy muza nawiedzi, damy czytelnikom waszym.

Sz. **Redakcji „Mrówki."** — Panu W. podaliśmy warunki, jeżeli chcecie korzystać — jesteśmy na wasze usługi.

P. Dr. S. w Redakcji „Sobótki." — P. Bełza bawi obecnie w Paryżu — gdzie listy posłaliśmy.

Od Redakcji.

„Kalina" jak dotąd wychodzić będzie tygodniowo z illustracjami.

Zapraszając do rychłéj przedpłaty, mamy to szczere przekonanie, żeśmy nie zaniedbali niczego, co mogło podnieść tak wewnętrzną jakoteż i zewnętrzną wartość naszego pisma.

Cena prenumeracyjna taż sama.

 Do dzisiejszego Nru dołączają się Listy zwrotne.

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Prenumerata miejscowa „Kaliny" wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesyłką pocztową: rocznie: 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c. w a.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Bracka, albo w księgarni J. Czecha lub F. Baumgardtena.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.

W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcji.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

W drukarni „Czasu" W. Kirchmayera.

Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*